

„Unieważnianie” małżeństw – polska droga rewolucji w Kościele?

Andrzej Bobiec

szkice

¹ A. Pawlaszczyk, *Między ołtarzem a sądem*, „Gość Niedzielny”, nr 31, s. 26–28.

² „Święty Paweł mówi: «Mężowie, miłujcie żony, bo i Chrystus umiłował Kościół... Tajemnica to wielka, a ja wam mówię: w odniesieniu do Chrystusa i do Kościoła»” (Ef 5, 25-32), KKK, 1659.

Na początku sierpnia ukazał się w „Gościu Niedzielnym” drugi już artykuł pióra Redaktora Naczelnego, ks. Adama Pawlaszczyka, poświęcony procedurze i przypadkom „stwierdzenia nieważności małżeństwa”¹. Kolejny tekst odsłaniający smutne skutki uwikłania się Kościoła w antropocentryczne i psychologiczne metody rozstrzygania o sprawach przynależnych porządkowi nadprzyrodzonemu. W tym – teocentrycznym – porządku, zgodnie z wykładnią naszego Katechizmu, należy odczytywać sens sakramentu małżeństwa². Nie uczyni się tego poprawnie, gdy instrumentarium obiektywnych – wynikających z wiary – kryteriów zastąpi psychologiczna analiza subiektywnych odczuć. Niestety, opisywana przez autora praktyka orzecznictwa sądów kościelnych w sprawie „(nie)ważności małżeństwa” może wskazywać, że Kościół zlekceważył ewangeliczną przestrożę przed pokusą łatania starego bukłaka ze starym winem nowym materiałem. Swoje przemyślenia, które utwierdzają mnie w tej przykrej konstatacji, poprzedzę przedstawieniem trzech z życia wziętych przypadków: dwóch trudnych małżeńskich historii i jednej, publicznie złożonej deklaracji.

„Serce nie sługa”. To stare, raczej romantyczne niż katolickie powiedzenie mogłoby posłużyć za tytuł historii Marii (imię zastępcze przyjęte przez autora artykułu), której ks. Pawlaszczyk poświęcił niemal połowę swojego, wyżej cytowanego artykułu. Na kilka miesięcy przed wyznaczoną datą swojego ślubu Maria zakochała się w innym mężczyźnie, jednak nie zdobyła się na wyznanie tego ani swojemu narzeczonemu, ani swojej czy jego rodzinie. Jakiś głos miał ją powstrzymać przed złożeniem przysięgi przed ołtarzem, jednak nie usłuchała go. Ślub się odbył. Jak czytamy w artykule, pomimo najlepszych starań bycia dobrą żoną

silne uczucie do drugiego mężczyzny doprowadziło do rozpadu związku i powstania nowego – niesakramentalnego małżeństwa. Cierpiącej z powodu niemożności uczestnictwa w pełnym życiu sakramentalnym Kościoła Marii zasugerowano „proces o nieważność małżeństwa z tytułu symulacji”. Czy taki proces miał miejsce, jaki był ewentualny jego wynik – tego autor artykułu, jak przyznaje, nie wie.

„Mężowie, miłujcie żony, bo i Chrystus umiłował Kościół i wydał za niego samego siebie” (Ef 5, 25). Jakiś czas temu spotkałem Tomasza (imię zastępcze), który opowiedział mi historię swojego małżeństwa. Swoją przyszłą żonę, Jolantę (imię zastępcze), poznał w duszpasterstwie akademickim. Niemal od razu pojawiła się intuicja, że ich „razem” jest jakimś elementem „Bożego planu”. Ich ze sobą „chodzenie” było ściśle wpisane w rytm aktywności wspólnoty. Pierwszym zwiastunem późniejszych problemów było rozstanie się Tomasza ze wspólnotą, podczas gdy dla Jolanty jeszcze przez długie lata jej „model” religijności pozostawał czymś niezwykle ważnym. Po niecałych dwóch latach „chodzenia” ślub, potem we „właściwym czasie” dzieci i wspólna troska o dom, która łagodziła co rusz pojawiające się nieporozumienia i zranienia – chyba w każdym wymiarze wspólnego życia. Z czasem jednak problemy te przekształciły się w niemal nieprzerwane pasmo wzajemnych pretensji, żalu, niespełnionych oczekiwań i cierpienia. Poza wspólnym dachem i dziećmi związek dwojga ludzi praktycznie przestał istnieć. Pozostając ludźmi wiary, Tomasz i Jolanta nie dawali jednak za wygraną. Przez kilkanaście lat rozpaczliwie walczyli o to, by stać się „dobrym małżeństwem”. Lecz, jak wspominał Tomasz, trudne do policzenia indywidualne spotkania z „rekomendowanymi” duszpasterzami, rekolekcje dla trudnych małżeństw, konferencje, lektura poradników typu „intymność po katolicku” albo „jak zostać idealnym małżonkiem” – na nic się nie zdały. W końcu pewien ksiądz zasugerował: „Wszystko wskazuje na to, że wasze małżeństwo może być nieważne. Idźcie do sądu i podarujcie sobie wolność”. Dla Tomasza było to jak zapalnik, zupełnie nowa perspektywa! Faktycznie: wspólnotowy „totalizm”, który uniemożliwił dobre rozeznanie, uczuciowe wahania i niepokój przed samym ślubem (Jolanta też przyznawała się do takich) plus ten cały bagaż zranień – czyż nie jest to wystarczający dowód,

że nigdy nie byli małżeństwem? Ich historię poznałem po około dziesięciu latach, po tym, gdy Tomasz, będąc już bardzo daleko od Jolanty, w chwili zupełnej beznadziei przyznał w modlitwie: „Przecież byłem trzeźwy, gdy jej to wszystko ślubowałem... Boże, tak, ona jest moją żoną, a Ty daj mi to wszystko, co potrzeba, by przysięgi dochować!”. Gdy rozmawialiśmy – po ich kolejnej, trzydziestej którejś rocznicy – Tomasz wyznał: „Aż strach pomyśleć, gdzie byśmy teraz byli, gdyby nie tamten moment i zaufanie w moc sakramentu. Gdzie byłby dom naszych dzieci?”. Czy od tamtej pory udało im się zrealizować te wszystkie poradnikowo-rekolekcyjne ideały pożycia małżeńskiego? Jak przyznał Tomasz, „nic na to nie wskazuje. Ale czy może być coś wspanialszego niż mozolna i świadoma współpraca z łaską sakramentu, by coraz lepiej wypełniać daną przysięgę, by coraz bardziej kochać swoją żonę?”.

„Wolałbym umrzeć, niż złamać przysięgę”. Choć brzmi to patetycznie, w ustach weterana dwóch krwawych wojen, w czasie jednej z nich ciężko rannego – bardzo wiarygodnie. Obserwując dyskusję, jaka niedawno przetoczyła się przez forum międzynarodowej bazy danych rocznych przyrostów drzew (wirtualne miejsce spotkań dendrochronologów)³, moją uwagę przykuł komentarz-post emerytowanego profesora Uniwersytetu Arkansas (Fayetteville), dr. Malcolma Cleavelanda, odnoszącego się do wrogich weteranom i tradycyjnym wartościom postaw liberalnych elit akademickich: „(...) mam za sobą pięć i pół roku w aktywnej służbie piechoty, raz Korea, dwa razy Wietnam (...). Podczas drugiej rundy byłem ranny i sporo czasu przeleżałem w szpitalu. (...) Złożyłem przysięgę obrony i popierania Konstytucji i raczej bym poszedł na śmierć, niż miałbym jej nie dochować. **Nawiasem mówiąc, tak samo traktuję przysięgę małżeńską** [wytłuszczenie – AB]”. I właśnie o tę lakoniczną dygresję – żołnierskie świadectwo „heretyka arianina” (jak mi się przedstawił dr M. Cleaveland w odpowiedzi na moją prośbę o zgodę na zacytowanie tego postu) mi chodziło.

Jakość sakramentu czy jakość pożycia?

Zgodnie z Tradycją Kościoła sakrament małżeństwa nadaje związkowi mężczyzny i kobiety zupełnie nową, nadnaturalną jakość, dzięki której jego zasadniczy sens należy odczytywać „w odnie-

³ International Tree Ring Database Forum, itrdbfor.org, 15.08.2020.

sieniu do Chrystusa i do Kościoła” właśnie. Sakrament gwarantuje stałą obecność Boga w małżeństwie, zanurza je w przestrzeń łaski, dzięki której osiągalnym dla małżonków staje się to, co po ludzku wydaje się niemożliwe. „Łaska sakramentu udoskonala zatem ludzką miłość małżonków, umacnia ich nierozzerwalną jedność i uświęca ich na drodze do życia wiecznego”⁴. Niestety, wiele wskazuje na to, że posoborowa praktyka duszpasterska, zamiast kształtować u wiernych niezbędne do skutecznego współdziałania z łaską postawy odpowiedzialnej dzielności i rozumnego porządkowania sfery uczuć, sprowadzona została do swoistej katolickiej inkulturacji „ducha” rewolucji obyczajowej. Zalewające od pięćdziesięciu lat księgarnie katolickie tony dzieł z formalnym lub nieformalnym „imprimatur” podkreślają znaczenie seksu jako wyemancypowanego dobra o zasadniczym znaczeniu dla „jakości” pożycia małżeńskiego. Wiele z nich, współbrzmiąc z freudowską psychoanalizą, oskarża jednocześnie Kościół o setki lat tłumienia cielesności człowieka. Nowy duszpasterski „paradygmat” wychodzi naprzeciw oczekiwaniom ukąszonego przez rewolucję obyczajową katolika: sakrament małżeństwa staje się niejako „licencją” na radosny seks z Bożym błogosławieństwem. Chciałoby się złośliwie westchnąć: jakże wielkimi nieszczęśnikami było tych kilkadziesiąt pokoleń katolików, małżeństw katolickich doświadczających dotąd okropnej opresji ze strony Kościoła katolickiego, pozbawiającego ich radości wzajemnego obdarowywania się! A czemu najwięcej uwagi poświęca się na kursach przedmałżeńskich? Czy nie temu, by „po bożemu kiwać się” z Panem Bogiem, stosując metody NPR⁵, przedstawiane w wielu materiałach dla naręczonych jako bardziej skuteczne i nieszkodliwe w zestawieniu z antykoncepcją?

Małżeństwo kontra miłość?

Pierwszym artykułem ks. A. Pawlaszczyka poświęconym stwierdzeniu „nieważności małżeństwa” był tekst pod znamienym tytułem *Miłość na ławie oskarżonych*⁶. Dla mnie bardzo dziwny i niepokojący. Autor, jednocześnie oficjał sądu diecezjalnego (w którym „kolejki ogromne”), uchyla rąbka warsztatu swojej pracy: „Wczytam się w kolejny opis nieszczęśliwie porzuconego małżonka. A potem: «W imię Ojca i Syna i Ducha Święte-

⁴ KKK, 1661.

⁵ Warto tu przypomnieć ważny tekst Kingi Wenklar pt. *Sześć mitów naturalnego planowania rodziny*, w „Christianitas”, z 2019 roku, <http://christianitas.org/news/szesc-mitow-naturalnego-planowania-rodziny/>, 15.08.2020.

⁶ A. Pawlaszczyk, *Miłość na ławie oskarżonych*, „Gość Niedzielnny”, nr 28.

go...» – od tych słów rozpocznę pisanie, co zdecydowałem w jego sprawie...”. Czytelnik „Gościa Niedzielnego” – najbardziej opiniotwórczego tygodnika katolickiego, którego regularną lekturę poleca się w większości polskich parafii – dowiaduje się m.in., że „nieważność małżeństwa [ta orzekana przez sąd kościelny – AB] jest *deklaratywna*, to znaczy skutki jej zachodzą dopiero po orzeczeniu przez Kościół, że zaistniała. Do tego momentu wszystkie skutki aktu zawarcia małżeństwa są takie same jak w przypadku zawarcia ważnego”. Jak to może wyglądać w praktyce? Otóż ksiądz, uspokajając pytających małżonków (?), „czy dziecko, które nam się urodziło, po orzeczeniu nieważności małżeństwa nie będzie dzieckiem z «nieprawego łoża»?”, odpowiada: „Nie, nie będzie. Żyliście w małżeństwie”. Czy nie jest to sofistyka? A może jednak „kościelny rozwód”? Jak to się ma do prawdy, do realności faktu, jakim była świadomie wypowiedana przed ołtarzem rota przysięgi małżeńskiej? Pomijając sytuacje oszustwa, świadomego zatajenia kluczowej dla ważności małżeństwa prawdy, czy takie stawianie sprawy nie brzmi jak swoista recepta typu „zawsze się wygrywa”? Gdy zdecydujecie się na trwanie w związku, sprawy nie było, jesteście pełnym małżeństwem, jednak skoro upieracie się przy „nieważności” – to, co trzeba, pozostanie ważne, ale w całości małżeństwa nie było. Dla miłości – wszystko...

Sakrament a wiara

Młody Czesław Miłosz, wiedziony celną intuicją, przedstawił wiarę jako postawę szacunku wobec obiektywnego istnienia: „Wiara jest wtedy, kiedy ktoś zobaczy/ Listek na wodzie albo kroplę rosy/ I wie, że one są – bo są konieczne./ Choćby się oczy zamknęło, marzyło,/ Na świecie będzie tylko to, co było,/ A liść uniosą dalej wody rzeczne”. Największy błąd współczesności polega na relatywizacji prawdy. Podstawą rozumnego myślenia jest uznanie faktów, czyli szacunek dla prawdy obiektywnej. Faktem jest ziemia, drzewo, człowiek, ów listek. Faktem jest również to, co powiedziałem, do czego przy świadkach się zobowiązałem. To, co czuję, nie jest faktem, chyba że nazwiemy to „faktem subiektywnym” (psychologicznym). Określone samopoczucie może między innymi wynikać z konsekwencji wynikających z określonego faktu, np. złożonej przysięgi. Jakość czy intensywność

pozytywnego bądź negatywnego przeżywania w żaden sposób nie zmienia istoty obiektywnych faktów, z którymi wiążą się odczucia. Fakty (te obiektywne) nie mają same w sobie wymiaru psychologicznego. „Fakty psychologiczne” (samopoczucie, od- i u-czucia) są zupełnie innej natury. Te rodzą się w głowie człowieka. O ile nie mogą zmienić złożonej przysięgi, mogą (z Bożą pomocą) podejmować trud rozumnego porządkowania dotyczących jej uczuć.

Tymczasem współczesna permissywna kultura zachęca człowieka, by żył bez zobowiązań, a jeśli już popełnił „błąd” zobowiązania, by miał „odwagę” jego wypowiedzenia w imię rzekomo nadrzędnego „prawa do osobistego szczęścia”. I tak ów „odważny” współczesny człowiek nagminnie – dla lepszego samopoczucia – „unieważnia” fakty swoich autonomicznych, suwerennych decyzji. Niestety, praktyka orzekania w sprawie tzw. „nieważności małżeństwa” pokazuje, jak bardzo Kościół uległ „kulturze” psychologizmu, lekceważenia i relatywizacji prawdy, przyczyniając się do infantylicyzacji postnowoczesnych katolików, a tym samym infantylicyzacji całych społeczeństw.

Kościół po to daje człowiekowi znaki sakramentów świętych, by ważność jego decyzji (tych najważniejszych) nie była uzależniona od kaprysów zmiennych nastrojów, pokus, chwilowych rozterek. Przysięga małżeńska jest ważna mocą łaski sakramentalnej, a nie komfortu psychicznego w momencie wypowiedzania roty. Czy sąd wojenny – jak sąd kościelny w sprawie trudnego małżeństwa – rozpatrując przypadek dezercji żołnierza z pola walki, prowadzi do unieważnienia jego przysięgi? A przecież gdy ochotnik składa przysięgę, także pojawia się temat ofiary z życia. I choć teoretycznie jest świadomy takiej ewentualności, w praktyce nie doświadczył jeszcze strachu przed śmiercią na polu bitwy czy bólu przesłuchania we wrogiej niewoli. Podobnie z małżonkami: ile małżeństw, tyle niewiadomych. Świadomość przysięgi nie oznacza świadomości tego, jak będzie wyglądało nasze życie za tydzień, rok, dziesięć czy pięćdziesiąt lat. Niestety, statystyki pokazują, że sądy kościelne polskich diecezji, zamiast pomagać wiernym w odkrywaniu znaczenia złożonego ślubowania, w umiejętnej współpracy z łaską sakramentu, chyba z tą łaską przestały się liczyć, opierając się na subiektywnym, relatywistycznym psycho-

logizowaniu, z reguły stając po stronie owej tytułowej, z „ławy oskarżonych”, „miłości”.

Sakramenty – nie dla wszystkich

Do swoistego „kanonu” nieformalnych wypowiedzi Papieża Franciszka przeszło jego stwierdzenie w drodze powrotnej ze Światowych Dni Młodzieży w Brazylii w 2013 roku, w którym przytoczył szacunek swojego poprzednika w diecezji Buenos Aires, według którego połowa tam zawieranych małżeństw miałaby być nieważna. Przesłanki? „Pobierają się ludzie niedojrzali, pobierają się, nie zdając sobie sprawy, że to do końca życia, albo biorą ślub, ponieważ powinni się pobrać ze względów społecznych”⁷. Czy pod tym względem Polska bardzo się od Argentyny różni? Czym żyje wielu narzeczonych, gdy w końcu zdecydują się na ślub: czy nie, przede wszystkim, przygotowaniem do jak najbardziej „wystrzałowego” wesela, do którego niejako wstępem ma być odpowiednio wyreżyserowana przez nich uroczystość kościelna z ulubioną muzyką filmową, filmującymi dronami itp.? Niestety, miejscowi proboszczowie niejednokrotnie ulegają fanaberiom młodych. Być może – to tylko moje przypuszczenie – wielu narzeczonych w ogóle nie wie, czym jest sakrament, a ślub kościelny traktuje jedynie jako ów „konieczny” element „wyjątkowego wydarzenia”, bez którego nie byłoby pełne, atrakcyjne, polskie?

W Kościele katolickim nie ma miejsca dla produktów sakramentopodobnych. Nie ma miejsca dla quasi-sakramentalnych, poprawiających samopoczucie lub wychodzących naprzeciw oczekiwaniom „klienta” usług. Tak jak kapłan – nawet będący w stanie grzechu śmiertelnego udziela jedynie ważnego sakramentu – tak decydujący się na katolicki ślub narzeczeni udzielają sobie w kościele prawdziwego sakramentu małżeństwa.

Gdyby Papież miał rację, mogłoby to oznaczać tylko jedno: niezwykle daleko posunięte zawłaszczenie Kościoła, zawładnięcie sfery sacrum przez „świat”. Innymi słowy: masową profanację. A skoro tak, to nie powinny dziwić nasilające się postulaty różnych środowisk (w tym części hierarchii i duchowieństwa) większej liberalizacji i „otwarcia” Kościoła. Ich realizacja przyspieszyłaby jedynie procesy, które i tak – za sprawą odejścia od ortodoksji – aż nadto są już odczuwalne.

⁷ Papież Franciszek, Konferencja prasowa podczas lotu do Rzymu, https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/franciszek_i/inne/konferencja-sdm_28072013.html, 15.08.2020.

Ośmielę się na zakończenie wysunąć tezę, że najlepszą miarą kondycji Kościoła jest to, w jaki sposób traktowane są sakramenty małżeństwa i kapłaństwa. To one powinny być solą nadającą smak całemu Kościołowi. Czy dlatego, że dla wielu pozostają przysłowiową solą w oku, wolno nam – z pobudek np. ekonomicznych, emocjonalnych czy (jak twierdzą niektórzy) ewangelizacyjnych – ją rozcieńczać albo zastępować cukrem? ■